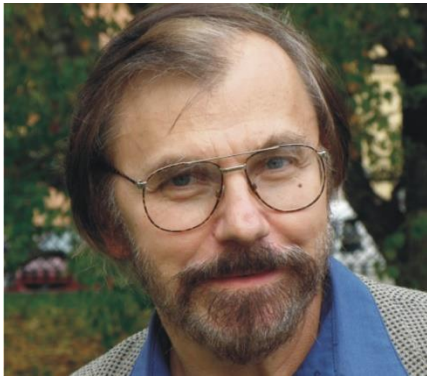


Listy do Pani A. (194)



Fot. Andrzej Dębowski

Profesor Syfilutek

Droga Pani!

Czytam z zainteresowaniem książkę Jacka Woźniakowskiego (1920-2012) „Ze wspomnień szczęściarza”. Świetna rzecz! Klara, przejrzysta, niesłychanie taktowna, delikatna. A co za język! Dziś już chyba nikt nie potrafi pisać taką polszczyzną. Wydał te wspomnienia ZNAK w 2008 roku, ale Ania kupiła mi je niedawno. Minęło kilkanaście lat, autora już nie ma z nami, a tekst czyta się znakomicie, jakby to wszystko było napisane wczoraj.

Pasjonująca rzecz. Przenosi nas ona w czasy dawniejsze, ale i powojenne, nam współczesne. Od śmierci autora minęło „zaledwie” dwanaście lat! Można z żalem pomyśleć, jakie to niegdyś były czasy, jacy ludzie podówczas nadawali ton. Oczywiście, nie wszyscy. Było też dużo osobników, zwłaszcza w czasach powojennych, niegodnych, a grających rolę inteligentów czy nawet decydentów. Pod tym względem w zasadzie nic się nie zmieniło. Ale to są oczywistości, o których Pani dla porządku tylko przypominam.

Może Pani pomyśleć, że gloryfikuję dawniejsze czasy, a także tamtych ludzi, których już dzisiaj coraz mniej. W każdym razie sama postać Jacka Woźniakowskiego, człowieka o niezwykłej kulturze, szlachetności i wiedzy, jest do dziś ze wszech miar fascynująca i ciekawa. A także unikalna. Dziś trudno jest spotkać podobne osoby, ale na szczęście jeszcze można, nawet wśród młodych.

Świetny pisarz, obdarzony poczuciem humoru na najwyższym poziomie, snuje swoje wspomnienia, które urzekają klimatem, swoją estetyką narracji, błyskotliwą anegdotycznością. A także aktualnością.

Ktoś powie, że dziś być szlachcicem, to jakiś anachronizm. Tymczasem nie chodzi tutaj o samo chętnie się pochodzeniem, ale przede wszystkim o wewnętrzną (ale i zewnętrzną) postawę. Była przecież, co wiemy z historii, szlachta, nawet utytułowana, w której szeregach byli obwiesie, kłamcy, zdrajcy i złodzieje. Bo tu nie chodzi o dyplomy i tytuły, ale właśnie o postawy. Tę „szlacheckość” można w sobie wyrabiać każdego dnia. Na czym to polega? Najprościej mówiąc na opanowaniu

pewnych odruchów, wyrobieniu pewnej delikatności oraz szacunku dla innych. Szlachectwo to nie tylko „urodzenie”, ale przede wszystkim to, co przez całe życie musimy w sobie świadomie hodować. I takie przesłanie można wyczytać pomiędzy zdaniem wspomnień Jacka Woźniakowskiego; w ich pasjonującej tkance fabularnej.

Piszę tu Pani takie patetyczne głodne kałki, bo taki ze mnie zrobił się profesor Syfilutek. Tymczasem zapominam, jak mnie samemu trudno utrzymać się w tzw. „formie”... Oto idziemy z Anią na spacer, nagle znienacka miją nas jadący szybko rowerzysta. Zamiast „dżentelmeńsko” zignorować głupca, który jak wariat jadąc po chodniku stwarza zagrożenie, rzucam za nim, wyrażę się delikatnie, na cały głos paniami lekkich obyczajów. Nie dosyć, że przy Ani, to jeszcze w jakiś sensie publicznie. Ania się gorszy, oburza, twierdzi, że reaguję jak ostatni cham. A co ja zrobię, kiedy mnie idioci na rowerach przestraszają i wkurzają? Kiedy sobie to wszystko uprzytomnię, myślę o Jacku Woźniakowskim, i wtedy robi mi się wstyd. Zdarza mi się czasem opanować to w gruncie rzeczy irracjonalne zachowanie, ale już za dziesiątym takim „cyklistą” znowu rzucam mięsem... I znowu mówię sobie mea culpa.

Proszę koniecznie sięgnąć po „Ze wspomnień szczęściarza”. Na pewno wzbudzi w Pani autentyczne zainteresowanie. Przecież nie może być inaczej...

Niespodziewanie znalazłem na YouTube znakomitą homilię jezuita, ks. Jacka Prusaka, na temat istoty Bożego Ciała. Przeciwnie ludzie traktują to w sposób magiczny, uważają, że najważniejsza jest niesiona w monstrancji hostia, albo schowana w tabernakulum. Tymczasem – zauważa Prusak – *Boże Ciało dane jest nam w posiłku, dlatego jest to Uczta Pańska, a eucharystia nie polega na „produkowaniu: Jezusa na potrzeby tabernakulum czy procesji*.

Skoro Chrystus jest chlebem czekającym na głód (*Św. Augustyn*) *upewnij się, czy jesteś głodny a nie godny – nikt nie jest godny, ale każdy ma prawo czuć się głodny, i dlatego jest to dar. Jedynym warunkiem wstępnym uprawniającym do uczestnictwa w Eucharystii jest głód a nie „bycie porządnym” czy „czystym”. Franciszkanin, Richard Rohr, trafił w dziesiątkę mówiąc, że „Jezus przychodzi nas raczej nakarmić, niż jedynie nauczać. Kochankowie potrafią to zrozumieć. Inni uczynią z tego wzniosłą liturgię i zawiłą teologię”.*

Tymczasem katolicyzm, zwłaszcza w polskim, tradycyjnym wydaniu, ma jednak więcej wspólnego z magią, religijnym zabobonem, bezmyślną dewocją, w których gubi się najważniejsza istota chrześcijaństwa; oraz z narzędziem politycznym.

Owszem, procesje, to bardzo piękna rzecz, malownicze, ludowe widowisko. Ale w takim ujęciu to właśnie tylko widowisko. Ale może jeszcze za wcześniej, by ludzie zdolali myśleć samodzielnie, bez tekturowych podpórek, odróżniać sztafaż od abstrakcyjnie pojmowanej Istoty. Ważne, aby wyrabiać w sobie metafizyczną wyobraźnię oraz intuicję, a tego nie uczą żadna masowa, by nie powiedzieć: ko-

mercyjna, populistyczna religia. (Przyznam się Pani, że i tu staram się, ale niekiedy wychodzi to tak, jak z cyklistami...).

Dotyczy to także modlitwy, która nie polega na klepaniu formułek. Twierdzą, że samo istnienie jest już najpiękniejszą modlitwą. Modlitwa nie potrzebuje słów. Podobne przekształcanie odnajduję w wierszach Andrzeja Saja z tomu „Zapatrzeni”. Znajdziemy tu liczne, ekfrazy, odniesienia do mitologii i historii, zagadnienia egzystencjalne, filozoficzne. Poeta jakże słusznie oddziela sprawy religijne od problemu wiary. Dlatego w poezji, ale i w naszym życiu wewnętrznym, ważniejsze jest milczenie od uporczywych poszukiwań nazw i opisów. Wystarczy uwierzyć – pisze Saj w jednym z wierszy – że Bóg to czas władający przestrzenią, i nic się nie dzieje bez jego przyzwolenia. To bardzo mądra poezja, doskonale wpisująca się w nowoczesne koncepcje intelektualne, ale nie naśladowcza, przeciwnie – niosąca odważne piętno indywidualizmu, budująca jakże oryginalną i głęboką metaforykę. Nie chcę znowu być mentorem, ale powiem, że powinna Pani tę poezję koniecznie poznać i przemyśleć.

Polecam też Pani najnowszy tomik Elżbiety Cichli-Czarniawskiej „Coraz głębiej”. Zmusza nas bowiem do głębszej refleksji, wchodzi w dialog z wrażliwością i wyobraźnią czytelnika.

Poetka unika dosłowności, a zatem mamy tu do czynienia ze szkieletowym nakreśleniem poetyckiej wizji. Cała reszta pozostaje jakby „we wnętrzu słowa”, do którego to wnętrza można dotrzeć posługując się intuicją i wyobraźnią. Nie da się bowiem w prosty sposób opisać skomplikowanych, indywidualnych doświadczeń, uczuć; bolesnych czy przyjemnych doznań. Ani też wynikających z tego filozoficzno-egzystencjalnych refleksji, ponieważ owe refleksje pozostają w sferze wyłącznie emocjonalnej, umykają jakiegokolwiek werbalizacji. Ta poezja odnosi się przede wszystkim do wyobraźni czytelnika, do jego wrażliwości. Cały „teatr poetycki” dzieje się tutaj w pewnym sensie poza tekstem. Tekst w połączeniu z wrażliwością odbiorcy buduje nową jakość i kształtuje przesłania, dostosowane do indywidualnej percepcji. Wszystko dzieje się w irracjonalnych przestrzeniach, umykających potocznej interpretacji. A z drugiej strony jakże realistycznych. Słowa w swoich konfiguracjach tworzą asocjacje, otwierają nowe przestrzenie; nowe pola dla mistycznych poszukiwań.

A tu znowu jesień. Ani się obejrzelśmy, kiedy rok zaczął powoli zmierzać ku końcowi. Ale ja lubię jesień. Zwłaszcza tę, która jak u Tuwima „mimozami się zaczyna”... A Pani?

Pozdrawiam Panią złoto-jesiennie –

Stefan Jurkowski

